



Kryminał z myszką

82

Nieto- perze

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

NIETOPERZE

Kryminał z myszką – Tom 82

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-48-8

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1985, seria „Labirynt”

Rozdział 1

– Uważaj! – powiedział Trzeci. Ton jego głosu był ostrzegawczy, ale spokojny.

Szósty siedział nieruchomo, ręce wciąż jeszcze trzymał na kierownicy, chociaż stali w tym zagajniku od kilku minut. Oczywiście, mógł ustąpić, dotychczas zawsze tak robił. Co prawda Trzeci nie był jego bezpośrednim przełożonym, tym niemniej w układzie sił liczył się prawie tak jak Pierwszy. Zresztą Pierwszego widywano tak rzadko, że... No nie, zapomnieć o nim nikt nawet nie próbował.

Ale dzisiaj Szósty nie chciał ustąpić. Jego kanciasta twarz z mocno zarysowaną szczęką wyrażała zdecydowany upór.

– Na co czekamy? – burknął.

– Ja już swoje powiedziałem. Zawracaj.

– W żadnym wypadku. Chcesz tam wracać, to wysiądź z wozu. Na szosie złapiesz kogoś, kto cię podwiezie. Zresztą możesz iść pieszo – uśmiechnął się złośliwie.

– Uważaj! – powtórzył Trzeci. Siedział obok niego trochę skulony, przeszkadzały mu długie nogi. Patrzył jakby przed siebie, ale Szósty wiedział, czuł to, że wzrok tamtego nawet przez sekundę nie ominął jego twarzy. On sam nawet nie musiał spoglądać w prawo. Od dawna zakodowane miał w pamięci te regularne rysy, pięknie osadzoną głowę i oczy koloru ciemnego piwa. Czy mordercy. Tak przynajmniej Szósty myślał, bo to i owo wiedział.

– Za dobrze cię znam – powiedział. Natychmiast pożałował tych słów. Kropelki potu wystąpiły mu na nosie i brodzie.

Trzeci zmrużył tylko oczy, uśmiechnął się. Lewą rękę wsunął w kieszeń płaszcza, i gdyby Szósty rzeczywiście dobrze go znał, przeraziłby się tego ruchu.

– Zawracaj! – W głosie brzmiała teraz groźba.

Szósty wzruszył ramionami. Przekręcił kluczyk w stacyjce, srebrzyste audi bezszelestnie potoczyło się z wolna w kierunku szosy, z każdą chwilą oddalając się od Warszawy. Wtedy Trzeci błyskawicznie wyszarpnął rękę z kieszeni. Tłumik przygasił odgłos strzałów. Czaszka, trafiona z odległości może piętnastu centymetrów, rozprysła się. Trzeci zahamował wóz, schował pistolet, sięgnął na tylne siedzenie po brązową torbę, wyszedł z samochodu i rozejrzał się. W zagajniku, gęsto zarośniętym świerkami i krzakami dzikiego bzu, nie dostrzegł nic, co wzbudziłoby jego obawę. Ranek był wczesny, pogodny, jesień dopiero nadchodziła, początek września.

Wiedział, co powinien teraz zrobić, choć wymagało to pewnego wysiłku i opanowania nerwów. Sił, nie tylko fizycznych, miał sporo, a nerwy od dawna umiał trzymać na wodzy. Usiadł więc znowu obok zabitego i ostrożnymi ruchami zaczął go obszukiwać. Doskonale orientował się, czego szuka; nie interesowały go pieniądze ani paszport.

Nagle, instynktem raczej niż wzrokiem i słuchem, wyczuł, że grozi mu niebezpieczeństwo. Wysunął się z wozu. Tak, nie mylił się. Przez las szli ludzie. Dwóch, może trzech. Jeszcze byli daleko, ale zbliżali się w jego kierunku. Słyszał już głosy, rozmawiali, śmiali się, pokrzykiwali. Zmarszczył brwi. Nie zdążył znaleźć tego, czego szukał. To źle, bardzo źle. Ale trudno, musi stąd odejść jak najprędzej. Zdjął płaszcz, zwinął, wpakował do torby. W sportowym ubraniu, opalony, z aparatem fotograficznym przez ramię, wyglądał jak turysta. Szybkimi krokami oddalał się od samochodu, po kilkunastu minutach znalazł się na szosie. Podniesieniem ręki i uśmiechniętą twarzą zatrzymał fiata 126p, prowadzonego przez dziewczynę.

Sama. To dobrze – pomyślał. Mówił po polsku bez obcego akcentu, jeżeli się starał; teraz musiał. Jechała do Warszawy. Raczej z nudów niż z ciekawości spytała, co się stało, że o tak wczesnej godzinie wypatruje „okazji”. Odparł, że zabrał się ze znajomymi, ale mogli go dowieźć tylko do tego miejsca, dalej skręcali na boczną drogę.

Widział, że od czasu do czasu spogląda na niego z wyraźną sympatią. Znał takie spojrzenia, znał też wartość swojej urody i wykorzystywał ten atut w razie potrzeby. Zwłaszcza w kontaktach z kobietami. W trakcie banalnej, przyjaznej rozmowy spytała:

– Pan jest leworęczny?

Pomyślał, że spostrzegawcza, to go zaniepokoiło. Odparł, że chwilowo posługuje się lewą ręką, bo prawą miał złamaną i jeszcze boli. Wyraziła umiarkowane współczucie. Swego czasu drażniła go ta leworęczność, w szkole niektórzy wyśmiewali, przezywali. Starał się wyrobić również prawą rękę, ale mu nie wychodziło. Potem ktoś powiedział, że leworęczny był prezydent Ford i jeszcze paru dostojników, co miało stanowić pociechę. Z czasem przyzwyczaił się do tej inności, już mu nie przeszkadzała.

*

Minęło pół godziny. W porzuconym samochodzie, zwinięty na przednim siedzeniu, leżał zabity człowiek. Ludzie, którzy szli lasem, ominęli srebrzyste audi; nie stało im na drodze, nie wiedzieli w ogóle o jego istnieniu. Wkrótce jednak w pobliżu znalazł się ktoś, kto przemierzał zagajnik z owczarkiem alzackim, czujnym i wytresowanym.

Sierżant sztabowy Strzałkowski miał wolny dzień. Przez dwie ubiegłe doby pomagali – on i pies – w tropieniu grupy włamywaczy, która za wszelką cenę usiłowała wykołować pościg. Późnym wieczorem „Trax” dopadł ich w starym wykopie kanalizacyjnym, a wykonawszy swoje zadanie, szturchnął zadowolonym pyskiem rękę przewodnika. W nagrodę dzisiaj obaj pozwolili sobie na długi spacer po lesie. Nie było im jednak dane zakończyć go spokojnie.

Zareagowali jednocześnie; przyśpieszyli kroku. „Trax” zjeżył sierść i węszył ostrożnie, w skupieniu. Sierżant rozgarnął gałęzie, znalazł się przy samochodzie.

– No! Ładny gips – mruknął.

Pies stał na sztywnych nogach, potem zaskomlił cicho. Przewodnik wciągnął rękawiczki, otworzył przednie drzwi, przyjrzał się i zagryzł wargi. Zrobiło mu się niedobrze. Zatrzasnął drzwiczki, przez kilka sekund zastanawiał się, co robić. Był sam, nie miał radiotelefonu, należało natychmiast zawiadomić kolegów z kryminalnego, ale należało również zostać przy samochodzie. W końcu wybrał to pierwsze: wybiegł na szosę, zaznaczając w myśli miejsce, gdzie stało audi.

Zatrzymał zielonego volkswagena z oficerem Wojska Polskiego za kierownicą, w paru słowach wytłumaczył, w czym rzecz, wskoczyli do wozu razem z „Traxem”. Do Warszawy nie mieli daleko, kilkanaście kilometrów.

Minęła jeszcze godzina. Przy samochodzie w zagajniku było teraz rojno. Sierżant Strzałkowski i „Trax” z zaciekawieniem przyglądali się z boku czynnościom dwóch ekspertów z Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO. Zainteresowanie wzbudzali nie tyle ludzie, ile obsługiwany przez nich aparat. Sierżant wiedział, że użyto tutaj termowizora; trochę go dziwiła niecodziennność milicyjnych czynności, pomyślał jednak, że widocznie morderstwo tego człowieka w wozie z rejestracją RFN ma jakieś specjalne znaczenie.

– Jak sądzicie, ile czasu minęło? – spytał major Szczęsny.

– Do dwóch godzin – odparł jeden z ekspertów. – Jeszcze chwyci.

– Wóz jest nagrany – dorzucił jego kolega. – Ale gdzieś za piętnaście minut byłoby już za późno.

Posługiwali się urządzeniem AGA – Thermovision 750 szwedzkiej produkcji, mieli też kolorowy monitor.

– Nawet dość wyraźnie! – rzekł ekspert-kapitan z satysfakcją w głosie. – Obok kierowcy siedział człowiek wysoki, szczupły, w płaszczu, bez nakrycia głowy. Pistolet w kieszeni, ogrzany wskutek oddania strzałów.

– Kiedy dostanę zdjęcia? – upomniął się Szczęsny. Jeszcze nie dotykał niczego wewnątrz wozu, termowizja była najważniejsza, miała ściśle ograniczony czasem zasięg działania.

– Jutro.

– Na tylnym siedzeniu nikogo?

– Raczej nie.

– Co to znaczy: raczej?

Oficer wzruszył ramionami.

– Mogło tam siedzieć całe stado – odparł cierpko. – Ale nie w ciągu ostatnich paru godzin. Zajmij się nieboszczykiem, może ci powie, jak się nazywa zabójca.

– Może mi powie – Szczęsny przytaknął, nie przyjmując do wiadomości ironii. – Nie takie rzeczy mówili.

Rozejrzał się za Połońskim, przywołał go ruchem głowy. Tamci skończyli zdjęcia, po chwili wóz techniczny odjeżdżał powoli w kierunku szosy. „Trax” odprowadził termowizor wzrokiem pełnym aprobaty.

Ekipa dochodzeniowo-śledcza przystąpiła do pracy. Każdy wykonywał to, co do niego należało, wszelkiego rodzaju ślady, daktyloskopia, zdjęcia – całe mnóstwo, opis samochodu, układ protektorów opon, wgłębienia od kół na trawie, wyraźny odcisk butów, zmierzający do szosy. Lekarz medycyny sądowej obejrzał i obmacał to, co zostało z rozstrzelonej czaszki, pobieżnie zbadał resztę ciała. Sekcja wykaże... i tak dalej. Znaleźli dwa pociski i dwie łuski. Jeden pocisk przebił czaszkę, potem szybę obok kierowcy i utkwiał w najbliższym drzewie; drugi uwiązł w drzwiczkach.

– Kaliber dziewięć – mruknął kapitan Połośki.

– Łuski, pociski – zastanawiał się Szczęsny. – Nie zależało mu na zatarciu śladów. Chyba się śpieszył. Szukał czegoś przy denacie, rozpiął mu płaszcz, marynarkę.

– Kierowca mógł sam się porozpinać, bo mu było gorąco.

– Mógł. Ale patrz, tutaj... guzik urwany, wisi na jednej nitce. Przy marynarce nadszarpnięta kieszka. To świeże rozdarcie. Gość nie wygląda na obszarpańca, te rzeczy są w bardzo dobrym gatunku, czyściutka koszula, elegancki krawat.

Wyjął zabitemu z bocznej kieszeni portfel, pochylił się nad dokumentami. Paszport z Republiki Federalnej Niemiec, polska wiza wjazdowa, termin pobytu nie przekroczony. Parę fotografii: jakaś willa w ogrodzie, samochód, kilka osób – jakby rodzina. Dwa tysiące marek zachodnioniemieckich, sto dwadzieścia dolarów i prawie trzydzieści tysięcy polskich złotych. Jeszcze trochę drobiazgów, wykorzystany bilet do kina w Warszawie, rachunek z hotelu „Victoria” za czterodniowy pobyt. W płaszczu paczka chesterfieldów, brakowało dwóch papierosów.

– Werner Kirshwald, obywatel RFN – Połośki porównał zdjęcie z twarzą, a raczej próbował to zrobić, gdyż była tylko zakrwawioną maską – czterdzieści sześć lat. Czekaj, tu jest jeszcze... – Wyciągnął z portfela wizytówkę. – Jakaś firma budowlana, a on tam jest, to znaczy był, inżynierem. Ciekawe, kto go uziemił. Chyba nie złodziej, bo zostawił najcenniejsze: portfel, pieniądze, złoty sygnet i zegarek.

– W bagażniku jest walizka – dorzucił technik od daktyloskopii. – Piękna rzecz! Z czarnej skóry, metalowe okucia. No i wspaniałe audi.

– W tym gęstym zagajniku morderca nie mógł zostać nagle spłoszony, bo gdyby ktoś go nakrył, nie zdążyłby uciec. A że nie widzę tutaj drugiego trupa – Połośki rozejrzał się jeszcze raz, na wszelki wypadek – można sądzić, że zabójcy nie interesowały dobra materialne, jeżeli rzeczywiście czegoś szukał przy zwłokach, pewnie znalazł i spokojnie odszedł. Ślady butów prowadzą do szosy, ale któż nam zaręczy, że są to jego buty?

Kiedy już wszystkie czynności, obowiązujące w takiej sytuacji, zostały wykonane i można było ciało zabitego umieścić w „latającej trumnie”, jak nazywali specjalną nysę,

Szczęśny pokonując odruchy wstrętu oczyścił szybę i kierownicę, po czym zapuścił silnik. Połoński usadowił się obok niego, reszta pojechała wozem technicznym. Audi zawarczało cicho, po chwili znaleźli się na szosie do Warszawy.

*

Następnego dnia po południu obaj oficerowie siedzieli w swoim pokoju służbowym w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych i przyglądali się zdjęciom. Na biurku Szczęsnego leżał ich cały stos, osobno te z termowizora, osobno – wykonane przez własnego technika.

Maszyna śledcza od wczoraj pracowała na pełnych obrotach. Na adres owej firmy budowlanej w RFN, a także na prywatny adres denata zostały wysłane telegramy oględne w treści, zwłaszcza ten drugi. Z paszportu nie wynikało, czy Werner Kirshwald ma jakąś bliską rodzinę, ale gdyby ją miał, nie należało brutalnymi słowami odkrywać z miejsca strasznej prawdy, na którą zawsze będzie czas. Otworzono i zbadano dokładnie czarną walizkę, jednakże jej zawartość, choć bogata i gustowna, nie nasunęła nic, co mogło być wskazówką w śledztwie. Bielizna, wizytowe ubranie, dwie pary butów, przybory toaletowe w wysokim gatunku, prospekty wspomnianej już firmy, różne drobiazgi.

Jednakże w trakcie dokładnego badania odzieży, którą denat miał na sobie w chwili zabójstwa, pracownik laboratorium kryminalistycznego natrafił – macając podszewkę marynarki – na mały, twardy i płaski przedmiot, coś jakby wizytówkę oprawioną w metalową ramkę. Wyjął więc tę rzecz wielkości miesięcznego biletu lub nieco mniejszą, obejrzał, zamyślił się, a potem zaniósł do pokoju, gdzie siedzieli Szczęśny z Połońskim.

– Miał to zaszyte pod podszewką – rzekł zwięźle, kładąc przedmiot na biurku. – Zbadajcie sami. ja mam i tak dość roboty.

– A my to nie? – mruknął kapitan. Wziął do ręki tajemniczą wizytówkę czy co to tam było, przypatrzył się. Szczęśny spojrzał mu przez ramię, w jego czarnych oczach błysnęło zaciekawienie.

– Daj!

Całość, pokryta szczelnie przylegającą folią, mieściła się swobodnie na dłoni. Biały papier, oprawiony nie wiadomo dlaczego w ramki, był idealnie czysty – żadnego napisu, nazwiska czy firmowego znaku. Major obracał go w ręku, delikatnie pomacał, folia ugięła się lekko. Przesuwał palcami po oprawce, szukając jakiegoś zaczepienia, sprężynki lub otworu. Nie znalazł. Wziął więc scyzoryk i ostrożnymi ruchami ściągnął folię.

– Ki diabeł? – powiedział Połoński z zainteresowaniem. – Zdejmij ramkę. Tam coś musi być w środku.

Metal z początku stawiał opór, potem raptownie oprawka otworzyła się i na biurko wypadł złożony na pół arkusik papieru. Szczęśny rozpostarł go, zobaczył napis. Mikroskopijne, lecz bardzo wyraźne litery, pisane chyba na najmniejszej maszynie świata.

– Po angielsku – stwierdził kapitan. – Tłumacz, ty się na tym znasz.

– Poczekaj. Więc tak. „Small nocturnal mammal of the order Chiroptera, resembling a mouse...” Cóż to za historia?

– Tłumacz, nie wydziwiał!

– „Mały nocny ssak z gatunku Chiroptera”, nie wiem co to znaczy...

– Nie komentuj, tłumacz, mówię!

– „...z gatunku Chiroptera, podobny do myszy, z przypominającymi skórę skrzydłami”... Czekaj, bo zapomniałem słowa. Aha, już wiem. Więc dalej: „składającymi się z błony, rozciągającej się od szyi poprzez przednie kończyny i wydłużone palce”... Jakaś cholerna zoologia! „...palce, wzdłuż boków ciała aż do kończyn tylnych i ogona”. Koniec.

– Rozumiesz co z tego?

– Przecież to jest opis nietoperza. – Major podszedł do szafy, pogrzebał, wyciągnął starą, mocno sfatygowaną encyklopedię. Przerzucił kilkanaście stron. – O, jest! „Chiroptera, rząd nietoperzy, obejmuje około 750 gatunków ssaków” i tak dalej.

– Po jaką cholere facie tak starannie ukrył treść, którą można znaleźć w każdym podręczniku przyrody czy w encyklopedii?

– Nie mam pojęcia. Słuchaj, to jest chyba sprawa dla kontrwywiadu.

– Myślisz, że to jakiś szyfr?

– Na to wygląda.

*

Ale kontrwywiad po kilku dniach odpowiedział, że w opisie nietoperza nie sposób dopatrzeć się jakiegokolwiek szyfru. Owszem, na wszelki wypadek wykonali sobie zdjęcie, jeszcze poszukają, zastanowią się. Osoba denata nie jest im znana.

– W takim razie – powiedział pułkownik Daniłowicz, szef wydziału kryminalnego SUSW – prowadzimy sprawę dalej. Czy nadeszła odpowiedź z Republiki Federalnej?

– Wczoraj – odparł Szczęsny, w gruncie rzeczy zadowolony, że śledztwo w sprawie tajemniczego morderstwa wróciło do niego. – Firma pana Kirshwalda z głębokim żalem przyjęła wiadomość o śmierci swego inżyniera, a po ciele nieboszczyka przyjedzie jego brat, Edwin Kirshwald, współwłaściciel tejże firmy.

– Brat... On też się odezwał?

– Nie, tylko przez firmę. Z prywatnego adresu Wernera, na który wysłaliśmy depeszę, nie przyszła żadna odpowiedź. Widać nie miał, a w każdym razie nie mieszkał, z rodziną. Względnie mieszkał z tym Edwinem, któremu wystarczyło, że firma nas zawiadomiła.

– Kiedy przyjedzie?

– Pojutrze. Samolotem. Sądzę, że przyleci z nim również ktoś, kto zabierze samochód, bo trumnę z ciałem wpakują pewnie do pociągu. Nam już do śledztwa wóz niepotrzebny. Wszystko, czego mogliśmy się z niego dowiedzieć, wiemy. Zabraliśmy oba pociski i łuski, przestreloną szybę, rozmaite ślady palców, numer silnika, stan...

– Do rzeczy! – przerwał Daniłowicz. – Zostaw tę wyliczankę. Pierwszy raz prowadzisz sprawę zabójstwa w samochodzie?

– Jedenasty – mruknął Szczęsny i roześmiał się. – W porządku, ja tylko tak. Nieboszczyk też jest zbyteczny, protokół sekcji masz przed sobą.

– Szkoda, że nic nie wiemy o nietoperzu.

– A może nie ma w tym żadnej tajemnicy? – zauważył Połowski. – Może jest to, powiedzmy, znak umowny towarzystwa przyjaciół nocnych ssaków z gatunku Chiroptera?

– Chyba się mylisz – rzekł pułkownik. – Znaków czy znaczków takich niewinnych stowarzyszeń nie zaszywa się pod podszewką marynarki. Po cóż mieliby to robić? Nie, w tym tkwi jakaś specjalna historia. Być może jednak dla kontrwywiadu. Ale póki co, zajmijmy się znalezieniem zabójcy Wernera Kirshwalda.

*

Szczęsny siedział w gabinecie szefa, miał dyżur. Pałac Mostowskich prawie opustoszał, dochodziła jedenasta w nocy. Ruch był tylko, jak zwykle, na stanowisku dowodzenia; w poszczególnych wydziałach dyżurowali oficerowie.

Od pewnego czasu polubił takie nocne, samotne godziny. Rzadko odzywały się telefony, koledzy nie kręcili się po pokojach, a wyjazd do kolejnego zabójstwa nie stanowił problemu. Jako zastępca szefa Szczęsny organizował ekipę, wyciągając z łóżka zaspanych delikwentów i wysyłając ich „w miasto”. Zresztą wyjazdy takie nie zdarzały się często.

Przeglądał wczorajszy biuletyn wydarzeń, bo coś go tam zainteresowało, kiedy drzwi uchyliły się i zajrzał Połowski.

– Po coś przyszedł? – spytał major, nie odrywając oczu od papierów. Poznawali się po sposobie chodzenia, otwierania drzwi. Pracowali razem od kilku lat, najczęściej wspólnie nad jedną sprawą.

Kapitan siadł z drugiej strony biurka, zrzucił kurtkę. Miał twarz trójkątną jak u kota, z oczami tak czarnymi, jak tylko możliwe; oczy Szczęsnego wydawały się przy nich zaledwie brązowe, co go trochę irytowało.

– Posłuchaj. – Gość niecierpliwie zmiotł z biurka wszystkie papiery i rozłożył na nim kilka zdjęć. – Doszedłem, zdaje się, do ważnego wniosku. Albo czekaj! Zrobimy inaczej.

Zerwał się, ustawił na środku gabinetu dwa krzesła, jedno obok drugiego. Wyjął z żelaznej szafy swój pistolet, rozładował, odłożył na bok magazynek, dla pewności spojrzął w lufę pod światło, nacisnął spust. Cicho szcęknęła iglica. Szczęsny przyglądał się temu wszystkiemu z umiarkowanym zainteresowaniem, a potem powiedział:

– Na razie doszedłem do wniosku, że nie chcesz mnie zastrzelić. Po co te krzesła?

– Siadaj na tym z lewej strony. To jest miejsce kierowcy, rozumiesz? Ja obok ciebie. Jak tam, w audi. Dobra. A teraz popatrz na ruch mojej prawej ręki.

– Widzę. Wyjmujesz pistolet, chyba z płaszcza, bo termowizja pokazała, że zabójca miał na sobie płaszcz. I co dalej?

– Patrz uważnie. Zakładam, że kierowca nie spodziewał się strzałów, ale dostrzegł ruch zabójcy w ostatniej chwili. Musiał go dostrzec, bo moja ręka, to znaczy ręka zabójcy, wykonała w powietrzu dość duży łuk, od prawej strony do lewej. Denat nie mógł tego nie zauważyć, zwłaszcza że mamy prawo sądzić, iż atmosfera pomiędzy tymi ludźmi była napięta. A dojrawszy taki nagły ruch, jak myślisz, co robi? Co ty byś zrobił?

– Pewnie bym się zwrócił twarzą do tamtego. Choćby po to, aby zorientować się w jego zamiarach.

– Właśnie! Wtedy zabójca strzela mu prosto w twarz. A co nam pokazały oględziny i sekcja?

– Że dostał w prawą skroń. Tam były wloty obu pocisków. No, a gdyby chciał wyskoczyć z wozu, uciekać?

– To by dostał w tył głowy.

– W takim razie... Czekaj! – Szczęsny zerwał się z krzesła, popatrzył na zdjęcia, które przecież znał niemal na pamięć, ale teraz spojrzął na nie jakby nowym okiem. – W takim razie facet strzelał z lewej ręki! Jest leworęczny. Cóż ze mnie za osioł! Przecież termowizor wyraźnie pokazał, że pistolet znajdował się w lewej kieszeni. Nikt praworęczny by go tam nie wkładał.

– Widzisz – Połowski uśmiechnął się z zadowoleniem. – Jak powiadają, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Zresztą ja też to przeoczyłem. – Schował broń do szafy, zamyślił się na chwilę. – Powiedz mi, bo nie zdążyłem wtedy zapytać, a potem zapomniałem: skąd się w lesie tak błyskawicznie wzięła termowizja? Przecież nie mamy jej u nas w laboratorium.

– Po prostu koledzy z Zakładu Kryminalistyki przyjechali z aparatem tu, do szefa, coś tam omawiali, demonstrowali. No, a jak dostaliśmy sygnał o morderstwie, namówiłem ich, żeby pojechali. W końcu nam też się przyda częściej niż raz na dwa, trzy lata oglądać to cudo w akcji. Bohdan, pofatyguj się jutro na lotnisko.

– O której przylatuje ten Kirshwald?

– Dziesiąta czy jedenasta, nie pamiętam. Sprawdź w rozkładzie lotów. Mówisz dobrze po niemiecku, ja słabo. Przywieź go tutaj, bo...

– Razem z nieboszczykiem? – przerwał kapitan. – To zły omen.

– Nie wydziwiaj. Nieboszczyk w kostnicy, i tam najpierw zawieziesz Edwina Kirshwalda na rozpoznanie. Potem tu do nas na rozmowę. Może nam powie, kto zamordował mu brata. Jeżeli to był obcokrajowiec – dodał w zamyśleniu.

Połoński wzruszył ramionami.

– Gdyby to był miejscowy przestępca, nie zostawiłby portfela, zegarka i walizki. W to nie uwierzę. Oczywiście, nie wykluczam jakichś powiązań szpiegowskich, próby szantażu, czegoś w tym rodzaju. Czy w dalszym ciągu nic nie wiemy o ewentualnym kierowcy, który podwiózł potem zabójcę? Do Warszawy czy gdziekolwiek? Bo przecież nie szedł sobie szosą, gwiżdżąc wesoło. Na pewno z kimś się zabrał.

– Jak dotąd nic. Szukają koledzy z okolicznych jednostek. Może w końcu ktoś się zgłosi, były komunikaty. Albo nasi natrafią. Sęk w tym, że nie wiemy kogo szukać. „Wysoki, szczupły”, tylko taki rysopis, czyli nic. No, dodajmy teraz: leworęczny. Gdybyśmy mieli stuprocentową pewność, byłby to ważny ślad. Ale takiej pewności też nie mamy.

*

Bohdan Połoński stał przy poruczniku Wojsk Ochrony Pogranicza i śledził wzrokiem podróżnych, podchodzących do kontroli paszportowej. Nie wiedział, jak wygląda Edwin Kirshwald; interesujące było zgadywać na podstawie rysów twarzy, ubrania, nawet walizek. Samolot z Frankfurtu nad Menem wylądował przed chwilą i pasażerowie defilowali z wolna przed funkcjonariuszami WOP.

Może ten? – myślał, patrząc na zbliżającego się tęgiego mężczyznę z ładnym neseserem podróżnym. – Opalony, siwy krótki wąs, okulary. Rozgląda się bystro, chyba kogoś szuka.

Tęgi pan odezwał się do porucznika najczystszą polszczyzną, oficer wziął jego paszport. Połoński zerknął. Rodak, z Poznania, inżynier od Cegielskiego.

Albo ten? – myślał dalej. – Wysoki, przygarbiony, bez kapelusza, płaszcz przerzucony przez ramię, chociaż na dworze chłodno. Patrzy spode łba, rusza szczękami, jakby coś żuł.

Wysoki zagadał szybko, gwałtownie, po włosku. Znów niewypał.

Ale teraz to już z pewnością on! Ubrany na czarno, twarz przygaszona smutkiem. Zatrzymał się, poczekał na towarzysza podróży. Też na czarno, jakiś zatroskany, zaaferowany, rozgląda się... Tak, to oni. Podchodzą do kontroli.

Połoński zrobił dwa kroki w ich kierunku, spojrzał oficerowi przez ramię. Zgadza się.

– Przepraszam – odezwał się po niemiecku. – Pan Edwin Kirshwald?

Czarno ubrany mężczyzna podniósł na niego oczy o zapuchniętych powiekach, usta mu zadrgały.

– Tak – odparł cicho.

– Jestem kapitanem stołecznej milicji – wołał nie używać trudno zrozumiałego dla cudzoziemca skrótu „SUSW”. – Połoński.

– Kirshwald. To pracownik naszej firmy, Bolentz.

Drugi z mężczyzn uklonił się sztywno, nie wyciągając ręki.

– Chciałbym przede wszystkim wyrazić panu najgłębsze wyrazy współczucia z powodu tragicznej śmierci brata – mówił Połoński.

– Dziękuję – odparł Kirshwald. – To straszne, rzeczywiście...

W tym momencie kapitanowi przemknęło przez myśl, że przecież w depeszach nie zawiadamiali wcale o śmierci, a jedynie o wypadku, jakiemu uległ Werner Kirshwald. Nie było jednak czasu na zastanawianie się, postanowił więc później to przemyśleć. Wopista oddał przybyłym paszporty, celnicy przejrzeni pobieżnie ich niewielkie torby podróżne. Okazało się, że obaj mają zarezerwowane pokoje w „Victorii”.

– Chciałbym prosić o rozmowę – rzekł Połoński. – Kiedy mogę po pana przyjechać do hotelu?

– O rozmowę? – W głosie jakby zdziwienie, ale zaraz polem Niemiec kiwnął głową ze zrozumieniem. – Tak, oczywiście. Chcę się dowiedzieć wszystkich szczegółów i jeżeli panowie mogą mi wyjaśnić... – Spojrzał na zegarek. – Może, powiedzmy, za godzinę?

– Dobrze. Za godzinę przyjadę pod hotel i zadzwonię z recepcji. Do widzenia panom.

Nie chciał z góry uprzedzać, że przede wszystkim musi zawieźć Kirshwalda do kostnicy, miał nadzieję, że Niemiec sam się tego domyśli. Takie wizyty stwarzały przykre niespodzianki, z omdleniem i zawałem serca łącznie. Wprawdzie Wernerowi sklejoną jakoś czaszkę i wykonano „kosmetykę” twarzy, ale mimo wszystko jego wygląd pozostawiał jeszcze wiele do życzenia. Połński bezwiednie pożałował Edwina; to przecież brat.

Na szczęście zniósł to spokojnie. Przyjrzał się, dotknął końcami palców skamieniałej twarzy, jakby żegnając zmarłego, westchnął ciężko i powiedział, że tak, rozpoznaje swego brata Wernera. Wyszli potem z ponurego budynku, pojechali do Pałacu Mostowskich. Bolentz nie zabrał się z nimi, miał sporo formalności do załatwienia.

Daniłowicz i Szczęsny czekali na Edwina Kirshwalda niecierpliwie; człowiek ten mógł im przecież niejedno wyjaśnić. Usiedli w gabinecie szefa, sekretarka przyniosła kawę. Pułkownik, rzuciwszy okiem na pobladłą twarz zagranicznego gościa, zaproponował winiak i wyjął z szafy butelkę węgierskiej brandy „Trois tours”, która – wedle opinii Szczęsnego – stanowiła brakujące ogniwo między koniakiem a winiakiem. Trzej oficerowie znali język niemiecki lepiej lub gorzej, na tyle jednak, aby mogli obyć się bez tłumacza.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI